Piękno, poezja i sztuka w dobie cywilizacji obrazkowej

Rozmowa z księdzem profesorem i poetą Januszem Ihnatowiczem



Ksiądz prof. Janusz A. Ihnatowicz, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę księdza, pisze ksiądz już od wielu lat łącząc działalność duszpasterską z twórczością poetycką. Czy księdza poezja ma w jakimś stopniu dotrzeć do konkretnego czytelnika i spełnić rolę katechezy?

Janusz Ihnatowicz: Na pewno odbiorca jest potrzebny, bo pisze się po to, żeby ktoś przeczytał. Ale w momencie pisania nie myślę o nim. Nie mam też na uwadze celów dydaktycznych, ani jakichkolwiek innych.

JSG: W księdza przypadku poezja więc nie ma związku ze stanem kapłańskim, twórczość idzie niezależnym torem?

JI: Nie wierzę w kapłaństwo poezji, jak to niektórzy nazywają. Przede wszystkim poezja jest na niższym poziomie. Pisanie wierszy to trochę tak, jak bycie kucharką. Pisze się po to, by sprawić ludziom przyjemność.

JSG: Czy wobec tego pierwszoplanową funkcją sztuki jest dla księdza funkcja estetyczna?

JI: Tomasz z Akwinu powtórzył za Grekami definicję piękna – *pięknymi nazywamy rzeczy, które podobają się, gdy się je ogląda* (*Summa teologiczna)*. Jeśli sztuka mi nie sprawia przyjemności i muszę się męczyć przy odbiorze, to może zawierać dobrą informację i pokłady głębokiego myślenia, ale dla mnie nie jest dziełem. Oczywiście nie oznacza to, że rzecz ma być łatwa. Np. niektóre utwory Eliota są trudne, ale już pierwsze czytanie sprawia zadowolenie.

JSG: Wspomniał ksiądz Eliota. Jakich poetów wymieniłby ksiądz jako swoich mistrzów poetyckich?

JI: Mistrzów mamy różnych w różnych okresach życia. Gdy byłem młody miałem ograniczony dostęp do polskiej literatury. W wieku 17-18 lat moja znajomość literatury pochodziła jedynie z antologii. W Anglii nie mieliśmy tekstów, podręczników. W latach 40. młodzi ulegali modzie, wyśmiewali Słowackiego, a czytali Norwida. Potem przyszedł czas Gałczyńskiego. Próbowaliśmy go

naśladować. Z angielskich pisarzy na pewno cenię T.S. Eliota czy Dylana Thomasa. Ale nie wiem czy ich można nazwać mistrzami. Podpatruje się różne ich sztuczki. Na tym rzecz polega.

JSG: Czy ksiądz się utożsamia z grupą poetycką „Kontynenty", powstałą w powojennym Londynie?

JI: Mój związek z „Kontynentami" jest trochę przypadkowy. Na pewno wiekowo pasowałem do tej grupy, bo wszyscy kończyliśmy uniwersytety w tym samym czasie. Wokół „Kontynentów" tworzy się teraz mistyczna aura. Tak na prawdę wszyscy młodzi tam pisali, bo to było jedyne pismo, w którym mogli drukować. Dostać się do „Wiadomości" nie było tak łatwo. Ja dostałem się tam dopiero w latach 50., a przez parę lat, do 1958 roku drukowałem w „Kontynentach". Potem wyjechałem do Ameryki i kontakt się urwał. Poszliśmy swoimi drogami.

Podejrzewam, że te masowo powstające utwory nie były wiele warte. Mieczysław Grydzewski wykazał się zmysłem krytycznym, skoro nie wszystko chciał drukować. Takich ludzi, którzy chcieliby być poetami zawsze jest bardzo dużo. Wtedy do Anglii różnymi drogami trafiła duża grupa Polaków. Ponieważ na emigracji nie było normalnych warunków, szkolnych pisemek itd., gdzie można było się „wypisać", to taką rolę spełniał „Merkuriusz" czy „Kontynenty". A dlaczego pisano po polsku, a nie po angielsku, to każdy miał na ten temat inną odpowiedź.

JSG: Jak to się stało, że pod koniec lat 50. zdecydował się ksiądz wrócić do Polski?

JI: Namówił mnie m.in. biskup Kaczmarek. Ściągnął mnie ze Stanów i Zygmunta Pioniera z Francji. Wszystkim się wydawało, że Władysław Gomułka otworzy drzwi dla Kościoła i będzie można coś dobrego w Polsce zrobić. Teraz wiemy, że 1956 roku Gomułka lawirował, żeby się dostać do władzy, a potem, w 1958 wycofał obietnice i wszystko wróciło do starej normy. Tak więc ani Pionier, ani ja nie dokonaliśmy niczego specjalnego.

Skończyłem w Polsce Seminarium Duchowne w Kielcach, przez rok byłem na Akademii Teologicznej w Warszawie, a potem, w 1966 roku udało mi się wyjechać na studia do Kanady i już zostałem.



Kaplica przy Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston, fot. pinterest.

JSG: Po takim wyjeździe pewnie miał ksiądz kłopoty z przyjazdem do Polski. Kiedy udało się księdzu ponownie przyjechać do kraju?

JI: Po raz pierwszy dostałem wizę dopiero w 1981 roku, gdy

powstała „Solidarność”. Miałem przyjechać do Kielc na rok akademicki 81/82, aby wykładać w seminarium. No, ale stan wojenny temu przeszkodził, bo anulowano wszystkie wizy. Następną wizę dostałem w 1987 roku. Wtedy byłem w Polsce przez 6 miesięcy i wykładałem w Kielcach. I od tego czasu praktycznie co roku jeżdżę do Polski.

JSG: Jak ksiądz wspomina swoje pierwsze tomiki wierszy?

JI: Pierwszy został przyjęty do druku przez PIW w 1958 roku, ale nigdy się nie ukazał, bo zdjęła go cenzura. Wydał go dopiero „Znak” w 1971 roku pt. „Wiersze wybrane”. W międzyczasie w Londynie u Bednarczyków w „Oficynie poetów i malarzy” wyszedł kolejny, drugi tomik. Trzeci ukazał się na początku lat 90. w Warszawie, wydany przez wydawnictwo „Lumen”, które już nie istnieje. Wydawnictwo padło, właściciel umarł i nikt nie wie, co się stało z książkami, które nie zostały rozprowadzone. W tym czasie wyszedł angielski tomik.

JSG: Księdza wiersze są też w różnych antologiach.

JI: Tak, w wielu, sam nie wiem za bardzo w jakich. Na pewno w antologiach „Kontynentowców”. W antologii poezji emigracyjnej, która wyszła w Polsce, cenzura nie puściła moich wierszy. Natomiast w antologii „Ryby na piasku” wydanej w Londynie znalazło się kilka moich tekstów. Karl Dedecjusz umieścił mnie w

swoich antologiach – „Lektion der Stille” i w kilkutomowym wydawnictwie. Dedecjusz robił dobre tłumaczenia. Muszę przyznać, że jeden mój wiersz w wersji niemieckiej jest lepszy od oryginału.

JSG: Co ksiądz sądzi o obecnej poezji emigracyjnej?

JI: Trudno mi coś sądzić, bo bardzo mało wiem na ten temat. To, co czytam nudzi mnie w sposób nieludzki. Pewnie jestem uprzedzony. Kiedyś jeden z angielskich poetów powiedział: są dwa rodzaje ludzi, ci którzy czytają wiersze i ci którzy je piszą. Więc ja stosunkowo niedużo wierszy czytam. To, co do mnie dociera w pismach emigracyjnych, polskich czy angielskich, albo jest niezrozumiale i nie wiadomo o co chodzi, albo jest to proza dziennikarska pisana wierszem. Ale, jak mówiłem, jestem uprzedzony, bo jak nie ma rymu, to mi się nie podoba.

JSG: Jaki według księdza wpływ na odbiór piękna mają nowe środki komunikacji? Czy człowiek może zatracić naturalną wrażliwość poprzez ciągły kontakt z komputerową iluzją, oglądając np. dzieło malarskiej sztuki na ekranie, a nie w muzeum?

JI: Między obrazem w muzeum, a na ekranie w gruncie rzeczy nie widzę wielkiej różnicy. Chociaż puryści twierdzą, że jest. Moi koledzy z Wydziału Sztuk Pięknych pewnie ukamienowaliby mnie

za tę herezję. Mnie się wydaje, że problem z mediami polega na czymś innym. Jak to powiedział Marshall McLuhan, przekaz staje się tym, co się przekazuje (*The medium is the message*). Właściwie należałoby zapytać, co jest przekazywane.

JSG: Jakie widzi ksiądz oddziaływanie rewolucji informatycznej, która się odbywa na naszych oczach, na współczesnego człowieka?

JI: Wpływ komputerów na człowieka jest duży. Ludzie zaczynają żyć w odosobnieniu kosztem kontaktów międzyludzkich. Widać to zwłaszcza u młodzieży, która nie jest w stanie niczego robić wspólnie, siedząc godzinami każdy przy swoim ekranie. Przy tym ogromnym tempie zmian, zatraca się zmysł kontemplacji. W jakimś sensie jest to zubożenie kultury. Kultura jest przecież czymś więcej niż błyskaniem obrazków.

JSG: Świat, w którym żyjemy stał się produkowanymi gotowymi substytutami kultury. Ekran monitora i wirtualna rzeczywistość zastępują obcowanie z drugim człowiekiem, a przetworzony i uproszczony obraz zastępuje słowo.

JI: Cywilizacja obrazkowa, której jesteśmy świadkami, uniemożliwia ludziom myślenie. Zauważyłem to zjawisko wśród studentów, oni myślą pod wpływem telewizji, obrazek za

obrazkiem. Ale związku pomiędzy obrazkami nie widzą. Im jest bardzo trudno czytać tekst, który prowadzi jakiś argument. Oni się w tym gubią. Pisać też nie potrafią. To jest konsekwencja myślenia obrazkami, a nie pojęciami. Obrazkami można dużo uzyskać, ale pojęcia są konieczne i nie mogą być zastąpione. Poza tym cywilizacja obrazkowa likwiduje wyobraźnię. Kiedy dzieciom się coś opowiada, one muszą sobie to wyobrazić. Gdy się dzieciom tylko pokazuje obrazki, nawet najlepsze, ale już gotowe, dziecko jest kształtowane na odbiorcze, a nie twórcze.



Wnętrze kaplicy przy Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston, fot. pinterest.

JSG: Podczas pracy na Uniwersytecie Łódzkim, na zajęciach z Analizy Dzieła Literackiego, wiele razy próbowałam wytłumaczyć studentom, że nawet najlepsza filmowa adaptacja dzieła literackiego nigdy go nie zastąpi. Obraz to nie to samo, co literatura. Przyszli humaniści jednak argumentowali, że na czytanie lektur nie mają czasu.

JI: Oczywiście, aby przenieść książkę na ekran, należy tekst bardzo uprościć. Np. "Wojna i pokój" Lwa Tołstoja. Rosjanie zrobili chyba najlepszą adaptację, która trwała jednak 20 godzin.

W latach 60. jedna z polskich aktorek zaproponowała mi przerobienie „Anny Kareniny" dla potrzeb teatralnych. Miał to być spektakl dwóch osób. Zacząłem próbować. Wiadomo, że przedstawienie może trwać dwie godziny, nie więcej. Co tu więc ściąć? W końcu doszliśmy do wniosku, że takiej teatralnej adaptacji nie da się zrobić. Jeżeli tekst zetnie się do dwóch godzin, zostanie z niego romans. Ona – żona zdradza męża, a później kochanek wrzuca ją pod pociąg. Medium obrazkowe ma zupełnie inny charakter i inne możliwości, nie może więc zastąpić książki. Czasowo nie jest się w stanie wszystkiego pokazać. Choć niektóre rzeczy można oddać dobrym aktorstwem. Jednym spojrzeniem, czy wyrazem twarzy aktor może pokazać dwie strony tekstu. W latach 50. w Toronto widziałem sztukę, graną przez sławną parę aktorską pt. „Schreck". Schreck to gatunek ptaka, którego samica zżera samca. W sztuce mąż próbuje uwolnić się od żony i próbuje popełnić samobójstwo. Ostatecznie zostaje oddany przez psychiatrów pod kontrolę żony, która od tej pory staje się jego prawnym opiekunem. On to wszystko słyszy. Jest w sztuce taki moment, w którym On, odwrócony tyłem do publiczności, plecami pokazuje swoją tragedię.

Z polskich ekranizacji bardzo dobry jest, według mnie, „Pan Tadeusz”. Wszystkie opisy zostały zamienione na obraz, dialogi są wierszowane. Właściwie „Pan Tadeusz” został nienaruszony.

JSG: W jakim stopniu w cywilizacji obrazkowej zatracamy granicę pomiędzy rzeczywistością, a iluzją?

JI: Najbardziej podatne na utratę poczucia rzeczywistości są dzieci i młodzież. Badania psychologiczne wykazały, że ostatnio zastraszająco częste zbrodnie dzieci, w dużej części wynikają z wpływu mediów. Ktoś kogoś zastrzelił, on się przewraca, a w następnym tygodniu znów jest na ekranie. Dzieci i młodzież coraz bardziej żyją w świecie ułudy.

JSG: Co wobec tego należałoby zrobić, żeby nie poddać się wielkim korporacjom, które dla sukcesu finansowego, narzucają nam taką, a nie inną wizję świata?

JI: Praktycznie jest tylko jedno wyjście, żeby mieć kontrolę nad tym, co wchodzi do naszej wyobraźni – wyłączyć telewizor. Nikt mnie nie może zmusić, żebym patrzył. Ludzie powinni być świadomi, co się dzieje z naszymi umysłami pod wpływem telewizji i powinni starać się to kontrolować. Ale ludzie potrzebują przyjemności intelektualnej i emocjonalnej. Jeżeli sztuka im tego nie daje, będą zadowalać się namiastkami. Artyści muszą się obudzić i produkować coś, co będzie dla ludzi

pożywką, wtedy prawdopodobnie następne pokolenie zacznie wracać do sztuki.

JSG: W takim razie wyjątkowe zadanie ma we współczesnym świecie literatura i literaci.

JI: Nasz problem nie polega na tym, że się dobrze nie pisze, ale że nikt nie czyta. Społeczeństwo wychowane na obrazkach, nie jest w stanie przyjmować tekstu pisanego. Wyobraźnia już nie działa. Drugi problem polega na tym, że pisarze nie chcą pisać dla ludzi. Piszą dla siebie i nie są zainteresowani odbiorcą, a nawet pogardzają nim. Uważają, że są lepsi od innych. To jest też właściwość innych artystów, nie tylko pisarzy. Jeśli nie podoba ci się mój obraz, to znaczy, że jesteś Filistyn, bo to jest bardzo głębokie. Jeśli pisarze nie chcą pisać, po to, żeby ich czytano, to nie będą czytani. Stosunkowo mało jest książek, pisanych tak jak pisał Sienkiewicz: ku pokrzepieniu serc. A ludzie chcą mieć pokrzepione serca i szukają takich rzeczy. Dlatego, gdy się znajdzie literat, który pisze dla ludzi, to wszyscy go czytają. Takim przykładem jest ksiądz Twardowski. On po prostu do nich mówi.

JSG: Jaką rolę przyjmuje na siebie Kościół w kreowaniu i popieraniu kultury w dobie cywilizacji obrazkowej?

JI: Kościół ma stosunkowo małe możliwości w dziedzinie kultury.

Może popierać pewnych artystów, może być mecenasem sztuki i literatury. Ale co Kościół może promować? W stosunku do sztuki, która przedstawia wizję świata całkowicie przeciwną chrześcijańskiej wizji, Kościół nie ma nic do roboty. Trudno wymagać, że Kościół popierał Andy Warhol'a. Artysta często nie chce zrozumieć, że jego twórczość nie musi być zaakceptowana. Z drugiej strony kler nie zawsze jest wykształcony w tej dziedzinie. Więc często woli kicz od prawdziwej sztuki. Kościół wprawdzie stara się kształcić kler w dziedzinie estetycznej, ale nie buduje muzeum.

JSG: Bardzo dziękuję księdzu profesorowi za rozmowę. Miejmy nadzieję, że *każdy w sobie cień pięknego nosi,* jak pisał Norwid i że w dobie cywilizacji obrazkowej nie zatracimy swojego człowieczeństwa oraz wszelkich wartości.

Ks. prof. Janusz A. Ihnatowicz urodził się w Wilnie 26. VII. 1929 roku. Dzieciństwo spędził w Częstochowie, dokąd rodzice przenieśli się w 1935 roku. Tam też wraz z siostrą Irmą i matką Zofią z Szymanowskich spędził lata wojny. Ojciec Stanisław, zawodowy oficer w wojsku polskim, walczył w kampanii wrześniowej. Następnie przez Francję przedostał się do Anglii. W 1946 roku reszta rodziny do niego dołączyła. Janusz Ihnatowicz zarówno szkołę średnią, jak i studia filozoficzne i psychologiczne

ukończył w Dublinie. W 1951 roku wyjechał do Kanady. Wrócił do Polski w 1958 roku, wstąpił do Seminarium Duchownego w Kielcach i do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. W 1962 roku otrzymał święcenia kapłańskie. W 1966 roku znów znalazł się w Toronto. Doktoryzował się w Instytucie Duchowości w Rzymie. Od 1969 roku wykładał teologię i patrystykę na bazyliańskim Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston (*University of Saint Thomas*). W 1997 roku przeszedł na emeryturę. Jako *professor emeritus* ciągle ma kontakt z uczelnią.

Poeta, krytyk literacki i tłumacz. Debiutował jako poeta w 1954 r. w pismach londyńskich wierszami opublikowanymi w miesięczniku „Życie Akademickie", prozę publikował w tygodniku „Życie". Literacko związany był z grupą poetycką *Kontynenty* skupioną wokół pisma „Kontynenty-Nowy Merkuriusz". Autor przekładów „Psalmów" z hebrajskiego. Wydał tomiki poezji: „Pejzaż z postaciami" (Londyn 1972) i „Wiersze wybrane" (Kraków, Znak 1973). Tom wierszy w języku angielskim „Displeasure" ukazał się w Londynie w 1975 roku. Był m.in. korektorem literackim pierwszego wydania Biblii Tysiąclecia (1965). Tłumaczył na język polski poetów angielskich i amerykańskich (Wa;t Whitman, Ezra Pound), przełożył też na angielski sztukę Jerzego Zawieyskiego *Sokrates*. Drukował w „Tygodniku Powszechnym", „Więzi", „Znaku", „Kulturze", „Wiadomościach", „Oficynie Poetów i Malarzy".

W 1973 roku otrzymał nagrodę Fundacji Kościelskich. W 2011 roku został uhonorowany nagrodą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształ twórczości. W 1997 r. otrzymał papieski krzyż *Pro Ecclesia et Pontifice*.

Jest członkiem Instytutu Naukowego w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku, Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie oraz polskigo Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

(na podstawie Wikipedii).

Czesław Miłosz. Jubilat.



Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

Florian Śmieja

Wśród starych, zapomnianych papierów odnalazłem niedawno wiele lat temu napisane słowo zagajenia wieczoru autorskiego Czesława Miłosza, który się odbył w Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie 26 czerwca 1963

roku.

To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”, tekst wydrukowany następnie w „Kontynentach” w numerze 57, wrzesień 1963. W jednym z punktów stwierdził zaskakująco:

> Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym…

A także:

> Szczegół kraju w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej zasadniczej stawki.

A oto co wtedy powiedziałem:

Szanowni Państwo,

Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej Sali, zapamiętałem poprzedni wieczór naszego Gościa, jakieś sześć, a

może siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać Poetę w naszych progach.

Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychylność, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w „Kontynentach" kilka miesięcy temu, w której nie szczędząc nam zresztą uwag krytycznych, Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprawdzie o to, że tytuł pisma bezprawnie przywłaszczyliśmy sobie z jego książki. Ale to jest jego wersja prywatna. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma – a taki epitet wyczytałem w „Dzienniku Polskim", naszej londyńskiej wyroczni – na cześć „Kontynentów". To że uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru miesięcznika świadczy o jego znakomitej intuicji poetyckiej. W jego korespondencji, wreszcie, znajdziemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyśliwał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na

słowiańskim dumaniu… A Miłosz, zaiste, zasługuje ze wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi – i zapewne nie bez racji – o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski, a także na język angielski, otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby *in nuce* charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały.

Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego

Gościa „Król Popiel” z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej.

Można by już cytat poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:

> Nad jego grobem Mozarta zagrali
>
> Bo nic nie mieli co by ich dzieliło
>
> Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dalii
>
> A pod za dużym niebem za cicho im było.

Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:

> Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
>
> I babim latem unosił się długo,
>
> Niknąc nad głową, w tej pustce którędy
>
> Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.

Proszę Państwa, oddaję głos Autorowi.

***

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in.

> Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata…

Myślę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczaić.

Trwać przy zasadach

Rok 2017 jest rokiem Josepha Conrada (1857–1924), gdyż w tym roku przypada 160 rocznica urodzin pisarza. Z tej okazji przypominamy rozmowę prof. Floriana Śmieji z prof. Zdzisławem Najderem na temat twórczości Józefa

Korzeniowskiego (Josepha Conrada) oraz zdewaluowaniu pojęć honoru i wierności.



Prof. Zdzisław Najder, fot. Fakt/Forum, Darek Iwański.

Prof. Zdzisław Najder to polski historyk literatury, wykładowca, specjalista od twórczości Józefa Konrada Korzeniowskiego. Był także przez wiele lat dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz doradcą w rządzie Lecha Wałęsy i Jana Olszewskiego. Wywiad z prof. Florianem Śmieją ukazał się po publikacji książki prof. Zdzisława Najdera „Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada" w 2000 roku. Prof. Zdzisław Najder był wówczas wykładowcą w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Mimo, że

wywiad miał miejsce kilkanaście lat temu, niewiele się zdezaktualizował. Twórczość Josepha Conrada jest wciąż jak najbardziej współczesna, a problemy miejsca Polski w strukturach Unii Europejskiej, jak najbardziej aktualne.

Redakcja

Florian Śmieja: Z okazji ukazania się w Polsce Twoich szkiców o twórczości J. Conrada pt. „Sztuka i wierność" pozwól, że zadam ci kilka pytań. Piszesz, że Conrad był pisarzem anachronicznym, nie należącym do swojego czasu i że jego korzenie tkwiły w tradycji.

Zdzisław Najder: Tak, w sposobie widzenia problemów moralności i ludzkiej wspólnoty był związany z polską kulturą szlachecko-inteligencką – a to już był w ówczesnej Anglii anachronizm. Jego wzory literackie – to książki Flauberta i Maupassanta, wydane ponad ćwierć wieku przed debiutem powieściowym Conrada. Ale równocześnie, i na tym zasadza się jego wielkość, stawianymi pytaniami i artystycznymi eksperymentami wybiegał w przyszłość. Wystarczy wspomnieć „Jądro ciemności", napisane w wieku XIX i czytane z przejęciem w XXI jak utwór niemal współczesny.

FS: Przecież jego powieści polityczne także nie straciły na aktualności.

ZN: Właśnie, pytania o przyszłość Rosji, rozdzieranej między autokrację a anarchię, postawione przez Conrada dziewięćdziesiąt lat temu, pozostają nadal otwarte. Ale to już wielokrotnie zauważono. Uderza mnie natomiast, że Conrad pisał – w roku 1905 w szkicu „Autokracja i wojna", i w innych pismach politycznych, o Europie w taki sposób, jakby przeczuwał i sugerował całkiem nam współczesne wysiłki integracyjne na naszym kontynencie. Widział w nich jedyny sposób na uniknięcie niszczących konfliktów. Był wielkim pisarzem europejskim, może pierwszym i najznakomitszym – w sensie przynależenia do trzech europejskich kultur, polskiej, francuskiej i angielskiej, i w sensie wyjątkowej świadomości bogactwa i różnorodności kultur narodowych, i w sensie podejmowania typowo europejskiej problematyki. Przyjrzałem się temu bliżej, kiedy przygotowywałem do druku polski przekład wykładu o „Europie Conrada", wygłoszonego jakiś czas temu w Londynie.



Józef Teodor Konrad Korzeniowski, fot. pinterest.

FS: Czyżby to zbieżność z twoją własną działalnością jako doradcy rządowego?

ZN: Masz rację. Uświadamiam sobie, jakie to są szczególne

sploty. Zacząłem się zajmować Conradem pół wieku temu – na znak protestu politycznego, bo to był dla mnie pisarz pokolenia Akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydzali. A w ciągu wielu lat od ogłoszenia (w podziemiu) pierwszego polskiego tekstu, postulującego wejście niepodległej Polski do Wspólnot Europejskich, zajmuję się praktycznie wypełnianiem politycznej wizji Conrada… Dzisiaj jestem przekonany, że nie ma dla nas ważniejszego zadania, niż integracja z Unią Europejską. Europa nie stoi w miejscu: ta na zachód od nas tworzy nowe struktury, podejmuje nowe wyzwania – i powinniśmy być ich uczestnikami, aby mieć wpływ na to, co się dzieje na kontynencie; ta na wschód też się zmienia, wcale nie na naszą korzyść – więc powinniśmy się zabezpieczyć**.**

FS: Nie jesteś zatem profesorem, który siedzi w swoim gabinecie?

ZN: Ależ siedzę, siedzę – też. W tej chwili mam przed sobą siedem prac magisterskich do oceny; pięć dojrzeje we wrześniu. Z tej dwunastki moich studentów, piszących prace na temat literatury amerykańskiej i angielskiej, aż troje chce się doktoryzować. A mam już i tak trójkę doktorantów. Masz jednak rację, mnóstwo – może jeszcze więcej – czasu zabierają zajęcia tzw. publiczne. Tak już jest od ćwierć wieku, kiedy w maju 1976 r. ogłosiliśmy w konspiracji program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a po tym jeszcze czterdzieści dziewięć

kolejnych publikacji. M. in. tłumaczyliśmy, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec i *vice versa*. Jakoś wtedy (1978) nikt nie wierzył. Po tym była Wolna Europa i przymusowa emigracja, a po powrocie Komitet Obywatelski, doradzanie prezydentowi Wałęsie (bezskuteczne) i premierom (czasem się udawało, jak z uznaniem niepodległej Ukrainy w 1991 r.). Jeszcze Klub Atlantycki, też w 1991 – zakładałem pierwszą grupę nacisku za wejściem do NATO. To jednak wcale nie wystarcza, teraz trzeba do Unii Europejskiej. Zajęć mi nie brak. Na szczęście moja żona niby narzeka, ale cały czas pomaga.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

FS: Czy tak dla Ciebie ważnych pojęć honoru i wierności nie zdewaluowały niedawne czasy i nieludzkie doświadczenia ostatnich pokoleń?

ZN: Te pojęcia istotnie są przez wielu współczesnych uważane za anachroniczne**.** Warszawska „Więź” wydała jakiś czas temu specjalny numer o „Zagubionej cnocie honoru”. Nie łączę jednak wcale tego kryzysu wartości z okrucieństwami wojny i stalinowskiego terroru. Wręcz przeciwnie: kryzys wywołany jest przez życie z mniejszymi wymaganiami, przez modne hasła skuteczności, pogoń za powodzeniem i zyskiem, jednym słowem przez tryumfy moralnego pragmatyzmu. Nasze czasy nie lubią moralnej twardości, lubią miękkość, telewizyjny wdzięk, umiejętność reklamy. Myślę jednak, na podstawie znajomości współczesnej publicystyki polskiej, że zatrata tych wariackich wartości nie przechodzi bez żalu, bez poczucia straty. Stąd wielki autorytet Zbigniewa Herberta. Jego „Przesłanie Pana Cogito” jest tragicznym apelem – w imieniu honoru i wierności. Do

wierności odwołuje się też jego szkic „Duszyczka” w tomie „Labirynt nad morzem”.

FS: Wiem, że Tobie został dedykowany, z czego jesteś dumny. Lecz czy to aby nie jest wołanie na puszczy.

ZN: Nie jestem optymistą, ale też nie mam zamiaru się poddawać. Kiedy mnie wyciągają na wspomnienia o Zbyszku Herbercie, pada zwykle pytanie: na co wyście liczyli w roku 1951, odmawiając kolaboracji z komuną. Otóż nie liczyliśmy na nic. Ta etyka, o której mówisz, etyka wierności i honoru, nie odwołuje się do skuteczności i nagrody.

FS: Nie sądzisz chyba, że taką etykę mogłyby przyjąć nowe elity „z ich odwiecznymi lękami oportunistów”, jak się wyraził Zygmunt Kubiak?

ZN: Myślę, że głęboką przyczyną tego kryzysu, tej nawet zapaści moralno-ideowo-kulturowej, jaką widać w dzisiejszej Polsce, jest słabość, a często wręcz kapitulacja elit. To jest sprawa ciągnąca się od dwu pokoleń, chociaż nadal niejasno widziana. Nasi okupanci niemieccy i sowieccy wiedzieli, co robią, kiedy ze staranną nienawiścią wybijali elity. Tylko kiedy się mówi o elitach ma się zwykle na myśli inteligencję. Otóż moim zdaniem nie mniej ważny jest fakt, że wybito i zniszczono innymi sposobami elity przywódcze wśród chłopów, robotników i

rzemieślników. To byli ci, którzy stanowili bezpośrednie wzory dla swojego otoczenia. Wśród nich było najwięcej ofiar w okresie stalinowskim. I te właśnie elity najstaranniej i najskuteczniej rozbijano w stanie wojennym. Częściowo znalazły schronienie za Atlantykiem, i tam osiągnęły sukcesy życiowe – ale w Polsce ich zabrakło i to się dzisiaj odbija.

FS: Wróćmy do Conrada. Co z twoim projektem muzeum w Berdyczowie, gdzie się urodził?

ZN: Wiesz, to pytanie równie aktualne jak bolesne. Jakiś czas temu ogłosiłem (w „Rzeczypospolitej") w imieniu Polskiego Towarzystwa Conradowskiego list otwarty, stwierdzający, że musimy zrezygnować z planów. Mimo wielokrotnie deklarowanego poparcia kół rządowych w Kijowie, naszego rządu, ambasad brytyjskiej i francuskiej, itd., władze miejscowe od pięciu lat skutecznie blokują naszą inicjatywę. Ciężko idzie na Ukrainie; dość wspomnieć muzeum Słowackiego w Krzemieńcu, którego otwarcie jest od lat odkładane – mimo finansowania przez rząd RP. Ciężko idzie. Z Litwą dokonaliśmy przełomu, są wspólne sesje sejmów (litewski nazywa się „sejmas") – a na Ukrainie trzeba się ciężko borykać. Ale próbujemy.

Od redakcji: Muzeum Józefa Konrada Korzeniowskiego w Berdyczowie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu prof. Zdzisława Najdera oraz Polskiego Towarzystwa Conradowskiego udało się otworzyć w 2015 r. Oto wypowiedź prof. Najdera na ten temat dla Polskiego Radia:

FS: Czy *casus* Conrada może posłużyc emigrantom polskim rozsianym po świecie za pomocny drogowskaz?

ZN: No wiesz, geniusze, wielcy ludzie, rzadko mogą służyć za praktyczne drogowskazy. Choćby dlatego, że są z zasady wyjątkowi. Chyba, że działają w ramach zbiorowości; ale już taki Norwid mógł być „drogowskazem" tylko w sensie intelektualnym.

FŚ: A w sensie osobisto-duchowym?

ZN: W takim prywatnym sensie Conrad, który żył w cieniu pamięci o rodzicach, którzy wszystko poświęcili dla Polski, i zarazem aż do roku 1918 w cieniu przekonania, że sprawa polska jest na zawsze stracona – uczy nas, że choćby świat dokoła stawał się nieznośny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach, szukać sensu życia we własnej pracy. No ale takie nauki są dla

nas, dla ciebie Florianie i dla mnie, łatwiejsze niż dla innych – bo zawsze możemy znaleźć ucieczkę w naszych książkach.

_____

Zdzisław Najder. *Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada,* Uniwersytet Opolski 2000 r.

Na Peloponezie



Florian Śmieja

NA PELOPONEZIE

> W szczęśliwszych dla wojaży czasach
>
> żyłeś Juliuszu
>
> Mogłeś oglądać grób Agamemnona

i wydumać poemat o połowie walecznych.

Ja wiem, że grobu nie ma

żadnego poematu o narodzie

nikt nie napisze, o tych

co zyskawszy swobodę rozgrabili mienie

przestali rodzić mężów o uczciwych sercach

i rękach czystych. Jakaś zaraza

stoczyła do cna ich dusze

skorumpowała plemię tak gruntownie

że wstyd się dzisaj przyznać do Polaków

tyle wśród nas niegodziwości i występku.

MYKENE

> Z tego miejsca strapiona Klitajmestra
>
> obserwowała feralne okręty
>
> powracającego Agamemnona
>
> inicjujac mityczną hekatombę
>
> Z jej warowni pozostały kamienie
>
> Przetrwała saga o okrutnym losie
>
> Bo zła fortuna mocniejsze ma zręby
>
> niż ludzką ręką stawiane opoki.

HEGEMONIA

> Peloponeska, jak wszystkie wojny,
>
> także była o hegemonię.

Ludzi pokornych nie unosi pycha

oręża nie potrzebują zgodni.

To hardy głosząc samowolę

tryumfuje do czasu

zostawia labirynty, kazamaty

baszty w ruinie, kruszące się mury.

Czas ułagodził dzieje

niepewnej historii

pomieszał nieprzyjaciół.

Przetrwały krwawiące maki

i żółte kielichy, jaszczurki

zwinne na kamieniach.

Morza nadal chłodzą

rozpaloną ziemię

w pysznej iluminacji dnia.

KLĘSKA POD TERMOPILAMI

Kiedy zajechaliśmy do Termopil

słońce było już nisko a zostało

jeszcze sporo drogi do hotelu.

Więc sine pasma gór wyspy Eubei

pamięć o trzystu hoplitach

sprzed dwu mileniów

zmęczonym turystom

darował wyrozumiały przewodnik.

SALOMON

Bardzo mądry był Salomon

miał sto żon

a wszystkie śliczne

wabne lecz wyrozumiałe

przeświadczone zapewne

że egzotyczna Saba

nie zawladnie sercem

ich pana na długo.

Dawno rozwiązały dylemat

czy lepiej być jedyną

nałożnicą osiłka

czy kochać się w zorzy?

POWRÓT Z GRECJI

Kiedy samolot o świcie oderwał się od ziemi

i w tyle pozostawił budzące się Ateny

przestało mnie obchodzić tyle, zdawało się, ważnych spraw.

Sąsiad Grek z bezczelnością, jak się miało okazać,

pewnego siebie biznesmena

w lot poinformował mnie, co myśli o Turkach

prymitywnych wojownikach, co nic nie stworzyli

i o sukcesach swoich bogatych ziomków

równie chytrych jak on ludziach interesu.

A ja sądziłem, że w powietrzu

> człowiek ma tylko jedno zmartwienie:
>
> by wylądować bez szwanku.

Meandry miłości. Problematyka powieści Zofii Romanowiczowej

„Sono felice”.

Włodzimierz Wójcik

Florianowi Śmieji – profesorowi iberystyki

i poecie – z wyrazami
przyjaźni…



Zofia i Kazimierz Romanowiczowie w swoim ówczesnym paryskim mieszkaniu, przy rue Debelleyme, wrzesień, 1998 r, fot. Kubik.

I

Powieść *Sono felice* została ogłoszona drukiem w roku 1977. Wcześniej ukazały się następujące utwory prozatorskie Romanowiczowej: *Baśka i Barbara* (1956), *Przejście przez Morze Czerwone* (1960), *Słońce dziesięciu linii* (1963), *Szklana kula* (1964), *Próby i zamiary* (1965), *Łagodne oko błękitu* (1968),

Groby Napoleona (1972). Później w Bibliotece „Kultury" wydała *Skrytki* (1970) oraz *Na wyspie* (1984). Do tego dochodziły artykuły oraz przekłady poezji prowansalskiej. Wreszcie pisarka wydała drukiem kolejną – chyba już ostatnią – powieść *Ruchome schody* (1995).

Tak więc przywołana powieść jest dziełem pisarki o wieloletnim doświadczeniu twórczym. Jej dotychczasowe utwory powstawały i ukazywały się w druku w określonym rytmie, ale rytmie niespiesznym, co świadczy o jej doskonale uformowanym warsztacie.

Akcja powieści toczy się kilkanaście lat po zakończeniu drugiej wojny światowej w Paryżu i w jego najbliższych okolicach. Rzecz przebiega, podobnie jak w klasycznym dramacie, w czasie krótszym, niż jedna doba. Od południa jednego dnia do piątej rano dnia następnego. Treść jest dość banalna i schematyczna. Kobieta wychodzi niespodziewanie z domu nie powiadamiając będącego w pracy męża. Wywołana przez telefon spędza kilka godzin ze starym przyjacielem, który – po latach niewidzenia – z Rzymu „wpadł" do stolicy Francji, aby zadać jej jakieś ważne, osobiste pytanie. Nad ranem – po kolacji w okolicach Notre Dame i drinkach z tańcami w jakiejś piwniczce – gość odlatuje do Włoch, kobieta wraca do domu. Zazdrosny mąż – jak się można domyślić – zabija ją kulą z Waltera.

Nic szczególnego, a jednak.

To, co najważniejsze mieści się w warstwie fabuły. W czasie przygotowań bohaterki Teresy do spotkania, i w czasie spotkania, w warstwie retrospektywnej dokonuje się poniekąd rekonstrukcja swoistej taśmy filmowej, porozrywanej, ale i sklejanej na nowo wedle chronologicznego porządku. Jak tedy wygląda ten ciąg fabularny?



Zofia Romanowiczowa, fot. archiwalna.

Oto kilka zdań na ten temat. Kilkunastoletnia Polka wychodzi z niemieckiego łagru w Bawarii. Przez pewien czas – podobnie jak wielu innych *dipisów* – pozostaje w okolicy w jakiejś willi zaanektowanej Hrabiny. Jest to faza pytań. Co dalej? Dokąd się udać po światowym kataklizmie, po nazizmie, po „czasach pogardy"? Na alpejskiej łące, na której wypoczywa, poznaje nieznajomego człowieka o nieustalonej narodowości. Dopiero później – po pewnych przekomarzaniach – dowiaduje się, że jest Polakiem, byłym jeńcem. Dziewczyna przypadkowo uzyskuje wiadomość, że we Włoszech, w polskich środowiskach wojskowych ma szansę zrobić maturę. Wiedziona głodem wiedzy po koszmarze łagru, udaje się na Południe. W środowiskach polonijnych poznaje Szymona, polskiego korespondenta wojennego. Ten, człowiek w sile wieku, niegdyś edukowany w Paryżu, zabiera ją na „reporterskie wypady" do okupowanych przez aliantów Niemiec widząc u niej pewne zadatki na pisarkę. Kupuje jej nawet w prezencie maszynę do pisania. Między nimi następuje bardzo delikatna zażyłość, którą można nazwać subtelną grą uczuć. Szymon kieruje dziewczynę do zakonnej szkoły średniej. Po zdaniu przez nią matury skłania ją do podjęcia studiów na Sorbonie, w Paryżu opromienionym legendą Ronsarda i Kochanowskiego. Ułatwia jej ten krok na miarę swoich możliwości. Z uczuciem pewnego odsunięcia się od niej Szymona, na nowym miejscu życia, dziewczyna poznaje topografię wymarzonego miasta jednocześnie studiując i dorywczo pracując. Poznaje mężczyzn (Miklosz), po pewnym

czasie wychodzi za mąż za Karola, który ją w stolicy Francji odnalazł.

Ciąg fabularny powieści podszyty jest grozą okrutnej HISTORII, znaczonej nazizmem, działaniami zbrojnymi, eksterminacja różnych narodowości. Jednak w głównym planie ta okrutna historia występuje jedynie w kształcie aluzji; jest swoistym – żeby użyć terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim". Romanowiczową interesuje jednak głównie „widzenie bliskie". Pisarka skupia uwagę na poszczególnych osobowościach, obserwuje struktury osobowe tych, których poraził nazizm, totalitaryzm, których naznaczyły „czasy pogardy".

II

Sono felice to powieść nie o wielkiej historii, ale o relacjach – w wielu przypadkach intymnych – w tym przypadku pomiędzy Teresą a jej partnerami: Szymonem, Karolem i Mikloszem. Ideą przewodnią utworu jest poszukiwanie szczęścia przez dziewczynę złaknioną ciepła, delikatności, intymnego bezpieczeństwa. Ta sprawa misternie inkrustuje tok narracji w postaci pojawiającego się zwrotu: *sono felice*, czyli „jestem szczęśliwa", zwrotu, który w końcu powieści odgrywa kluczową rolę.

Związki między Teresą a Szymonem cechuje delikatna opiekuńczość, niemal rodzicielska, ale opiekuńczość nie pozbawiona „podszewki” erotycznej. Sygnalizuje to dbałość o zapewnienie wygłodzonej więźniarce dostatniego, niekiedy luksusowego życia, a nade wszystko bezustanne zabiegi zmierzającego do jej intelektualnego, duchowego rozwoju. Szymon, mistrz narracji reportażowej, doświadczony dokumentalista, mówi:

> Nie wiem jak tam z twoim pisaniem. Nazwiska sobie chyba nie wyrobiłaś, doszłyby mnie słuchy. Ale masz czas. […] Kiedyś przynaglałem cię, prawda, ale to było po to, by cię ustawić do startu, byś uwierzyła, że jeśli zechcesz, potrafisz. Jesteś wciąż młoda, wciąż masz czas, nic się nie pali. Tylko na bycie szczęśliwym nie ma chwili do stracenia. Jeszcze moment i może być za późno. [SF 102][1]
>
> […] patrz – przypatruj się, bierz, owszem, udział, wypróbowuj nawet na sobie, ale powiedz sobie raz na zawsze: cokolwiek się dzieje, ty obserwujesz do krajobrazów. (…) Trzymaj się wyłącznie Pegaza, gdyż upadki z Pegaza są bardziej od innych bolesne. Ale ty potrafisz utrzymać się w siodle. Ty możesz. Ja ci to przepowiadam, ja to w tobie czuję. (…) Ja jestem świadek. Nie muszę aż trawić, muszę tak patrzeć by widzieć. A co zobaczę, zaraz opowiedzieć dla

> tych, którzy nie widzą, chwycić to dla nich na gorąco, w trakcie, z najmniejszą możliwie przeróbką. (…) Ja świadczę, rejestruję, nagrywam. Może tacy jak ja są po to, by takim jak ty zbierać budulec? [SF 104]

III

Najbardziej skomplikowana, pogmatwana, meandryczna okazuje się relacja pomiędzy Teresą a Karolem. Historia ta została oparta na swoistej… nie „komedii”, ale właśnie „tragedii pomyłek”. Skończyła się też – niestety – prawdziwą tragedią. Poznała go podczas odpoczynku na alpejskiej łące w szczególnym stanie ducha. Po udrękach obozu, w którym bezustannie podczas rutynowych apeli, była wystawiana – niczym na targu niewolników – na widok publiczny, była niejako „na oku” strażników, szukała bezpieczeństwa samotności, intymności, które miały jej ułatwić określenie własnej tożsamości. Nic dziwnego, że po wyzwoleniu nie mogła już znieść innych zniewoleń:

> Każdy z mijanych mężczyzn zahaczał o nią spojrzeniem. Właśnie, zahaczał. To były spojrzenia-harpuny, była rybą do złowienia. Potykała się w pantofelkach Hrabiny, stropiona, tropiona oczami głodomorów. [SF 84]

W tej konkretnej sytuacji dziewczyna znajduje pewien świat wolności i bezpieczeństwa pośród świata książek przypadkowo zgromadzonych w jednym z baraków:

> Dopadła biblioteki, barakowego azylu. Sam zapach papieru i kurzu, cisza, ostrożne stąpanie, przywracały poczucie bezpieczeństwa. Za oknami mogły zbierać się jakie chciały burze, tu była świątynia słowa. Drukowanego. [SF 84]

Uwolnionych przez aliantów *dipisów* „polowania na Fraulein, które ją i jej towarzyszki przejmowało tak patriotyczną zgrozą” [SF 84] zaważyły na relacjach pomiędzy Teresą a Karolem, który – jak się później okaże – w stalagu czy oflagu, po prostu

> (…) bez pasa, bez broni, bezwolnie przeleżał pięć lat na pryczy, przegrał w brydża, przespacerował po dziedzińcu, patrząc na niedostępne góry, tak bliskie, na o każdej porze roku inaczej zabarwione łąki. Jego narzeczona zdążyła tymczasem wyjść za mąż. Nawet się chyba nie zdążyli pocałować. [SF 84]

Romanowiczowa pokazuje swoistą ironię złośliwego losu. Oto jeszcze anonimowy Karol zagaduje Teresę po niemiecku –

Fraulain – i niejako z miejsca kwalifikuje się do tej prostackiej grupy polujących na kobiety pokonanego narodu. Teresa, wiedziona rodzajem przekory, odpowiada po niemiecku. Kiedy okazuje się, że jest Polakiem, gotowym do kontaktu z Niemką, stawia przy nim znak zapytania. Kolejne spotkania niby coś zmieniają w ich stosunkach, doprowadzają do związku małżeńskiego, ale uraz pozostaje.

Związek małżeński Teresy z Karolem jest znaczony bezustannym niedosytem. Pojawiają się w nim wciąż zahamowania. Kobieta bezustannie przeciwstawia oszczędnego Karola, z Szymonem, człowiekiem o szerokim geście. Uładzony Karol okazuje się nieco mdły na tle rozbuchanego seksem Miklosza. Wartościowy Karol bezustannie ją irytuje:

> Nie na wiele zdał jej się niemiecki, nawet zaszkodził, choćby wtedy na łące, z Karolem. No a z Karolem po polsku czy po niemiecku, czy się porozumieli? Czy się kiedykolwiek dogadali? Nawet porozumienie ciał było między nimi potencjalne, pewność i niepewność, ogarek nadziei. Parę iskier. [SF 128]



Zofia i Kazimierz Romanowicz przed wejściem do Hotelu Lambert w 1962 r., fot. Archiwum Emigracji, Biblioteka Uniwersytecka, Toruń.

IV

Natomiast związki Teresy z Mikloszem mają już inny charakter. Ten południowy Słowianin, charakter zdobywczy, tryskający energią, bezustannie zmieniający bezwolne partnerki, tryskający seksualizmem i erotyzmem, prowadzi z byłą więźniarką z Polski swoistą grę:

Mikloszowi poszło z Teresą nie tak prędko i nie tak łatwo. A raczej nie tak po prostu. Może dlatego chwycił ją w mocniejsze szpony i – nie będąc nigdy jej pewny, dłużej na niej wypróbowywał swej władzy. Dłużej łudziła jego złośliwe pragnienie.

Zła kolejność, kolejność pechowa. Gdyby z Karolem nie byli z góry zahamowani, z odmiennych a właściwie analogicznych powodów, gdyby nie było tej pierwszej, nie chcącej zagoić się kompromitacji na bawarskiej łące! (…) Obyłoby się bez Miklosza, doskonale mogłoby się obyć.

Miklosz był wszystkim, czym Karol nie mógł być, także i z jej winy. [SF 82]

A Miklosz? O, ten jak Szymon nie musiał machać ręką i żołądkować się, że kelner go ignoruje. Nie dłubał za drobnymi w portmonetce, nie oglądał menu wywieszonego na ulicy, kalkulując czy obok nie będzie taniej. Nie pracował, nie zarabiał, miał i wydawał bez liczenia.

Jednak z Mikloszem nie w głowie im było jedzenie, coś przełknęli, czymś popili, byle jaknajszybciej wyjść i najdłużej być razem.

Miklosz nie starał się, tak jak Karol, kamuflować swego cudzoziemskiego akcentu. Nie był żadnym emigrantem, naturalizowanym czy nie. On był Cudzoziemcem właśnie, był Obcym, zawsze i wszędzie cudownie obcym, innym, skądinąd. Nie nosił wstążeczek orderowych, po co? Choć musiał ich pewno mieć całą kolekcję. Wojenną przeszłość miał wypisaną na twarzy, w sposobie bycia. Nie rozwodził się też ględząc nad swymi wyczynami, nie rozbudowywał legend o byłych bojach, nie weryfikował się, żebrząc o zaświadczenia. Coś mu się tam czasem przypominało, mimochodem i to mimochodem było takie, że zapierało dech..

A może kłamał, mimochodem? Może ta szrama na policzku także kłamała, stanowiła jedno z akcesoriów, jedną z masek? Czasami Teresa czuła że ociera się o coś zwodniczego, coś teatralnie próżnego, nie zdanie lecz tyrada w odgrywanej po raz setny roli bohatera i kochanka. Długo nie chciała wierzyć samej sobie, przeciwnie, zaciskała powieki by sobie i jemu ułatwić oszukiwanie.

Bo przecież tak na dobrą sprawę Zwodziciel został przez nią zwiedziony, ona jego też w końcu oszukała, nie tylko samą siebie. Cały czas oszukiwała go, bo gdy myślał, że już zdobyta, już zaliczona, ona wciąż należała do Karola, a gdy zdobytą już, więc unieważnioną, odrzucał, ona właśnie i tak

miała odejść. To znaczy wrócić. Do Karola.

Właśnie, chyba tak. Z jej strony oszukiwane, bo pomyłka. Ze strony Miklosza oszukiwanie, tak, ale też i pomyłka, mała pomyłka, która… Gdyby wiedział!

To było zresztą tak dawno, ile lat? Miklosz, być może, zmienił się, postarzał, z siły wieku tak łatwo przejść w starość. Miklosz postarzały? Podtyty, jak jego sobowtór w kawiarni? To by ją dopiero na dobre wyleczyło. [SF 88-89]



Zofia Romanowiczowa zrobiona przez córkę Barbarę w Jours w 1987 r.

V

Powieść Romanowiczowej posiada znamiona sztuki teatralnej. Od początku akcji czuje się, że nad światem przedstawionym w utworze wisi tragedia. Sygnalizuje to bezustannie pojawiający się

motyw Waltera, pistoletu, w który zaopatrzył się Karol pragnący w jakiś sposób zrekompensować wcale nie bohaterski, nawet nudny, nieciekawy sposób życia w jenieckim obozie. Romanowiczowa prowadzi narrację tkając poszczególne wątki i motywy niczym misterną materię tak, że wzajemnie się określają, uwydatniają, wyjaśniają. Bezustanny okrzyk: „Sono felice" oznacza łaknienie szczęścia i jego szukanie; marzenie o biblijnym raju, zaludnionym przez Adama i Ewę. Ci szczęśliwi prarodzice człowieka współczesnego wypełniają powieść niemal po same brzegi. Ważną konstrukcyjnie rolę pełni motto utworu w postaci elegii Jana Kochanowskiego (III, 8) w przekładzie Juliana Ejsmonda *Do Karola*, elegii, której szczególny fragment przewija się przez tok narracji, a mówi o śmierci Henryka, który „zginął śmiercią tak okrutną":

> Teraz, w czasie pokoiu y zabaw rycerskich
>
> Krwią ciekący porwanyś za wody Styxowe,
>
> Tam, gdzie światłość przechodzi przez szparę w przyłbicy
>
> Straszna kopia przeszyła ci na wylot głowę.

Śmiercią okrutną – ironia losu – ginie Teresa. Wróciła do domu z ostatecznym przekonaniem, że jedynie Karol jest jej najbliższym

człowiekiem. Mówiąc, że jest szczęśliwa właśnie z nim, niebacznie – przez pomyłkę – przywołuje imię Miklosza. Znękany latami zazdrości Karol zabija Teresę. Kula z Waltera przechodzi przez czoło, właśnie „przez szparę w przyłbicy".

Okazuje się, że powieści Romanowiczowej zwykle bywają utworami o relacjach pomiędzy jednostkami ludzkimi. Łączy je ze sobą niemal ta sama narratorka-bohaterka, która przeszła piekło więzień hitlerowskich i obozów koncentracyjnych „czasów pogardy". Zazwyczaj to, co najgorsze jest już za nią; poszukuje zwykle możliwości wejścia w życie „normalne". Jednak dramatyczna przeszłość w każdym przypadku wlecze się za nią to nękając ją, raniąc, to znów prowadząc do najbardziej skrajnego finału, do śmierci. Jeśli przedmiotem refleksji w niniejszym artykule jest powieść *Sono felice*, to głównie dlatego, iż wydaje się pokazywać najbardziej skomplikowaną wersję ludzkiego losu w dwudziestowiecznej rzeczywistości europejskiej…

---

[1] Wszystkie cytaty oznaczone skrótem SF pochodzą z wydania: Z. Romanowiczowa: *Sono felice*. Londyn 1977. Cyfry arabskie po skrócie oznaczają stronę.

Zofia Romanowiczowa, urodzona w 1922 r. w Radomiu, zmarła

w 2010 r. w Lailly-en-Val we Francji, polska pisarka i tłumaczka emigracyjna.

***Włodzimierz Wójcik**, prof. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, były dziekan Wydziału Filologicznego, zmarł w 2012 roku.*

Jan Goczoł. Poeta innego czasu?



Jan Goczoł, fot. Katarzyna Zawadzka.

Korespondencja z Polski

Leszek Żuliński

Pozwolę sobie zacząć od dygresji osobistej… Otóż Jan Goczoł i ja urodziliśmy się kilka kilometrów od siebie, z tą różnicą, że poeta piętnaście lat wcześniej. On wydał swój pierwszy tom wierszy w roku 1961, ja czternaście lat potem. Ale taka właśnie różnica wieku i startu literackiego wystarczyła, że jako debiutant miałem Goczoła od początku za „klasyka”. Był już zresztą znanym

działaczem społecznym i kulturalnym na Śląsku Opolskim. I redaktorem. Był „postacią literacką” i szybko stał się poetą cenionym, co mi imponowało. Potem przez dwie kadencje posłował w Sejmie, należał do warszawskich zespołów redakcyjnych, wydawał kolejne książki; jego autorytet umacniał się. I miałem to poczucie więzi z KIMŚ TAKIM, z mojej Opolszczyzny. Mam je do dzisiaj. Może nawet mocniejsze niż dawniej – teraz, kiedy Ślązacy stali się „podejrzaną grupą etniczną”.

Jan Goczoł nie był autorem zbyt płodnym (nie musiał; może i dobrze…), ale zawsze „ważnym”, toteż bardzo się ucieszyłem, biorąc po latach do ręki jego zbiór wierszy pt. *Z pogorzeliska*. Tym bardziej, że w ostatnich latach gdzieś „mi zniknął”. Oczywiście czasy się zmieniły – w samym Opolu pojawili się chociażby tak znani autorzy, jak m.in. Podsiadło, Różycki czy Rudnicki… Tak więc miejsce Goczoła zrelatywizowało się na całej tej mapie poetyckiej.

Czy stał się już poetą „innego czasu”? Hm, w jakiejś mierze na pewno. Młode, galopujące bizonki oddają nas do domów starców, ale – do diabła! – my jeszcze żyjemy, my jeszcze piszemy.

Ten tomik Jana Goczoła ukazał się – przypadkowo – w dobrym momencie, akurat – o czym wspomniałem – gdy rozpętała się absurdalna burza na temat polskości Ślązaków. A Goczoł jest, jak

mało kto, przykładem rdzennego Górnoślązaka i poety z krwi i kości polskiego. Właśnie jakby wzorcem homogenizacji historycznej, patriotycznej i kulturowej, kreującej na całej Ziemi szczególnie ciekawe inspiracje i cenne świadectwa czasu.

Wiersze w tym tomiku pochodzą z lat 1985-2010. To nie jest jednak klasyczny wybór – przeważają teksty z lat ostatnich. Jednak widać, że to minione piętnastolecie „przesuwało" Goczoła ku przeszłości, ku konstatacjom uniwersalnym, takim, jakie przychodzą do głowy, gdy sumujemy własne doświadczenia i patrzymy w przestrzeń pozbawioną jasnej perspektywy.



Dostrzec tu można wyraźnie trzy wątki. Pierwszy – to właśnie wątek śląski. Podyktowała go świadomość przynależności do własnej tradycji i kultury, ale chyba jeszcze bardziej nostalgia za upływającym czasem. Goczoł jest teraz w takim wieku, że to wystarczy, by znać i pamiętać zmiany pogody nad swoją ziemią, i to nasączone tymi archetypami, tą „przedpamięcią", jaką wszyscy wynosimy z rodzinnych domów ojców i dziadków. Tradycja śląska pojawia się już na pierwszych

stronicach zbiorku, w odwołaniach do Angelusa Silesiusa i Jana Nepomucena, ale szybko te wiersze powiewają naszym czasem. Jak ten, którego mieszkańcami są emigranci i gastarbeiterzy – wnukowie Starego Ślązaka – rozrzuceni po całym świecie. Ale ta postać Starego Ślązaka jest tu najważniejsza i bardzo symboliczna – to jakby matuzalem i patron, rdzeń z rdzenia, kość z kości, opoka… I choć świat ucieka mu spod nóg, on splunie w dłonie, podniesie topór i jak gdyby nigdy nic będzie *rąbał drewno na zimowy opał*. Ładna metafora, nośna, jednak jakby wzięta z mitologii, z baśni, która za lasami za górami. Tak czy owak Goczoł opowiada swoje Macondo, opowiada jakiś etos; strach pomyśleć, że coraz bardziej daleki. Lecz ta nuta śląska brzmi w tych wierszach mocno, co znaczy, że Goczoł twardo się trzyma korzeni. Czy mogło być inaczej? Inaczej – w jego wierszach?

***

Drugi wątek, to sprawy współczesne. Nasz świat, nasze problemy i wahania. Nie ma tych wierszy dużo, ale jak już – to już. Cytuję w całości wiersz bez tytułu:

> Mów monosylabami, najlepiej
>
> ich ćwierciami, ledwie słyszalnymi, by

> ulatywały bezpowrotnie, nie wracając
>
> wołami zapierającymi się w ziemię
>
> coraz bardziej grząską po tych kwaśnych deszczach
>
> między Wisłą a Odrą. Już od wielu pokoleń
>
> tak padają. Chociaż coraz to ci z góry
>
> zmianę pogody obiecują.

To tekst uniwersalny, to wiersz-przesłanie o wysokich walorach aksjologiczno-etycznych, a równocześnie może być czytany jako sarkastyczny utwór „polityczny”, i to bardzo dziś aktualny. Tu widać całą dyscyplinę warsztatową tej poezji, jej umiar i wyciszenie, a jednak sens paraboliczny jest tu czytelny aż do bólu, ostry i niekompromisowy.

Goczoł daje popis poezji znakomitej, wyrafinowanej i „mocnej”. Ale swoje „bunty” przemyca ze stoickim spokojem, w wyciszeniu, w tonacjach lirycznych; m.in. jest świetnym „malarzem znaczeń” i „pejzażystą”, myśli obrazem, tłem, nastrojem, aurą; nie jest ani nowatorem, ani tradycjonalistą, a to z tego oczywistego powodu,

że znalazł już dawno swoją nutę osobną. Wprowadza nas w swoją realną prywatność, jak np. w kolędowanie u państwa Wysockich, przyjaciół (aż trzy wiersze na ten temat!) czy w oczarowania (wiersze bieszczadzkie).

Niechaj nas jednak ta kameralność nie odurza swą estetycznością lub czystym liryzmem. To są wiersze „gęste", „napakowane", o dużej wadze problemowej.

***

I już docieram do trzeciego wątku, najobszerniejszego w tym tomie, najbardziej bolesnego i chyba najbardziej przejmującego. Ów tytułowy w tej recenzji „poeta innego czasu", to nie tylko strażnik przeszłości, to także „zegarmistrz czasu przyszłego". Ale to już się dzieje na zupełnie innej płaszczyźnie – Goczoł opisuje swoje własne „pogorzelisko" egzystencjalne. Te wiersze są chyba najbardziej przejmujące – bowiem „schyłkowe", oswajające własny kres, odchodzenie, znikomienie, dobieganie do mety. W kurtuazyjnym odruchu można by zakrzyczeć: „Panie Janie, a dajże Pan spokój", ale nie zrobię tego, bowiem wszyscy wiemy, że gdy się ma tyle lat, to niemal każdy przymierza czarny garnitur i podsumowuje swoje przeżyte dni. Jednak każda poezja egzystencjalna, metafizyczna, profetyczna w wieszczeniu własnego kresu, to piętro najwyższe, jakiego możemy sięgnąć. Goczoł opowiada swoje „słabnięcie", swój odmarsz niezwykle

subtelnie i z wielką mądrością, którą nasyciło go życie. Mądry jest jego stoicyzm, łagodność, pogodzenie z losem i niezakłamywanie tej wspólnej wszystkim prawdy, ale zawsze najdosadniej prywatnej i beznadziejnej. Ten wątek uważam za apogeum, jakie tu znajduję; to wiersze wielkiej urody, pogodnego smutku, wnikliwego, intymnego autodefiniowania oraz oswajania własnej Nocy. Rzekłbym, że nawet jakiś klasyczny epikureizm tkwi w tym stoicyzmie i trudnej spowiedzi z własnej kondycji.

Tomik zamyka wiersz pt. *Post scriptum*, będący a propos tego, co napisałem powyżej:

> Te wiersze są jak ryby wyrzucone przez rzekę
>
> na wysoki brzeg; z ogromny trudem łapią oddech.
>
> Należy je czytać zgodnie z ich oddechem, tak
>
> jak się z rzeki wynurzały i w nią zapadały –
>
> jedno zdanie na tydzień, nieraz i rzadziej,
>
> póki się nie skropliły ich wieczności.

> Ciemne zawiesiny powinny pozostać nienaruszone –
>
> anegdoty, jakie przesłaniają, niczego nie wyjaśnią,
>
> wiodą mylącymi tropami. Może jedynie na chwilę
>
> w samotnym milczeniu rozbłyskują ich twarze,
>
> odżywiają się dalekimi głosami.

Ten wiersz, autotematyczny w swym pierwszym planie, to przecież wiersz o udręce niemocy i zdyszanym dobieganiem do mety. Co ciekawe: bliźniaczym wierszem jest utwór na początku tomu, drugi z kolei. To klamra, która spina wszystko, co tutaj najważniejsze i najbardziej dramatyczne.

Tomik ważny, bogaty, różnorodny, skupiony, intymny, bolesny i bardzo mądrze wmyślający się w krajobrazy zewnętrzne i wewnętrzne Czasu, który Jan Goczoł chce ogarnąć w poczuciu własnego zmęczenia i rozczarowania światem, choć po horacjańsku ukochanym.

Jan Goczoł *Z pogorzeliska*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2011, s. 64.

Jan Goczoł (ur. 13 maja 1934 r. w Rozmierzy) – polski polityk, poeta, w latach 1985–1991 poseł na Sejm IX i X kadencji.

Ewa Kołacz. Impresje.

> Ewa Kołacz (Eva Kolacz) prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (John K. Grande)

Ewa Kołacz – kanadyjska poetka i malarka



Ewa Kołacz

Spacer

> Każdy z nas żyje na swej bezludnej wyspie
>
> która opływa pospiesznie życie.
>
> Wyznaczamy na niej granice
>
> własnymi myślami.
>
> Wielkość tej wyspy zależy na szczęście

głównie od wyobraźni.

Obwarowani przyzwyczajeniami

jakże niechętnie udzielamy gościny

i jeśli przy kimś zapomnimy się na chwilę,

jeśli nocą nie potrafimy obyć się bez niego

tym skwapliwiej zamykamy się w sobie.

Z rana triumfy świeci nasze ego.

Wieczni uciekinierzy. Czasem uciekinierzy z wyboru

wciąż z pytaniem jak przeżyć ambitniej i mądrzej

zapominamy że istnieje zwykłe ludzkie życie.

Samotność głuszy kilka rozpoczętych książek.

Znów słowa, daruj. Tak lubię późny czerwiec

z jego poranną mgłą, z zielonym cieniem akacji

podaj rękę i chodźmy już na spacer.

Czas wakacji.



Eva Kolacz, Fantasy Island.

Jeszcze jedna noc

> Noc. Krótka, prawie bez księżyca
>
> za oknem domy z wolna gasną
>
> i tramwaj cienko śpiewa, nie mogę zasnąć.
>
>
>
> Wciąż brak mi tej pięknej umiejętności

uchodzenia myślom

więc gram z nimi w wyścigi

lecz gdy zamknę oczy

już są przy mnie

i sen się gładko toczy po prześcieradle

i ginie.

Myśli. Jedne tak ulotne, że dotknąć ich nie sposób.

Są jak motyle albo ptaki,

budzą sny po których chodzę tak lekko

jak z balonikiem w ręku dziecko.

Inne myśli najczęściej przychodzą nocą,

znają każdą ścieżkę ciała, każdą szczelinę,

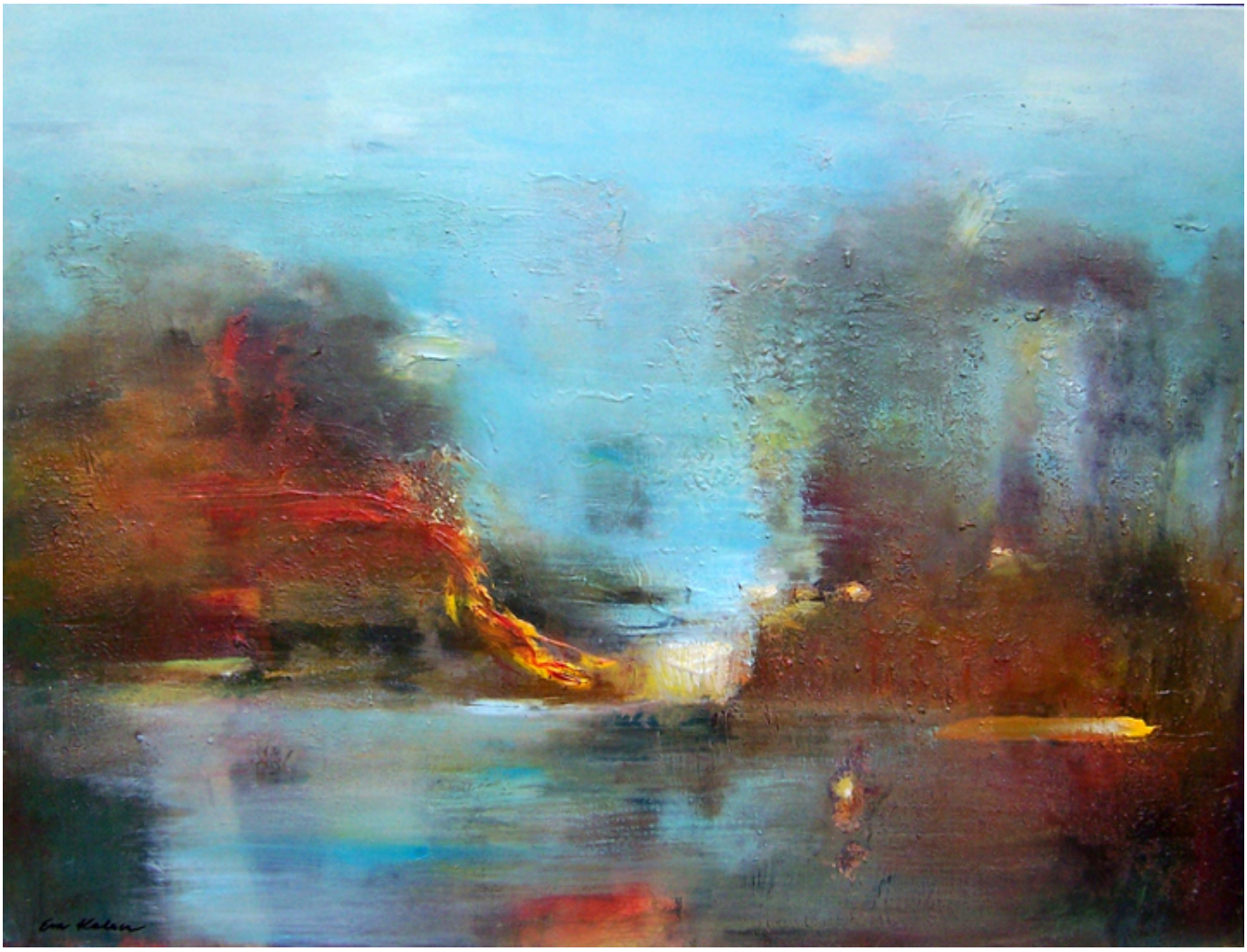
gdybym mogła, gdybym umiała pozbyć się ich

lecz żyją już swym własnym życiem

i milkną dopiero gdy świt

wchodzi do pokoju ze światłem.

Zapalam lampę.



Eva Kolacz, Peaceful – Moments.

Muza i Poeta

> Myślisz, że to ładnie kręcić jego myślą,
>
> wchodzić jak do siebie
>
> w czerwonych obcasach?
>
> Śmieją się jej usta ze zwycięstwa

czary w nim uwięzione – zachłanna kobieto.

On – zanurzony w codzienności

jak w małej uliczce z której nie ma wyjścia

uczy się teraz mieszkać we wszystkich

zakątkach świata

i z pewnością będzie o nim głośno.

Wczoraj bezosobowy i nieistotny

z pozycji podpatrującego świat,

dziś właściciel długonogiej muzy.



Eva Kolacz, Flow of Light.

Sentymentalnie

> Dopiero tutaj
>
> we mnie dziś nie ma tych chmur.
>
> I śmieję się na tyle długo
>
> by zapamiętać śmiech.

Dlaczego nie zapachem dziewanny

mam być we wrześniowym poranku

wstawionym w polski pejzaż.

Sentymentalnie oh zbyt sentymentalnie

gdy codzienność wjeżdża w internetowy wszechświat

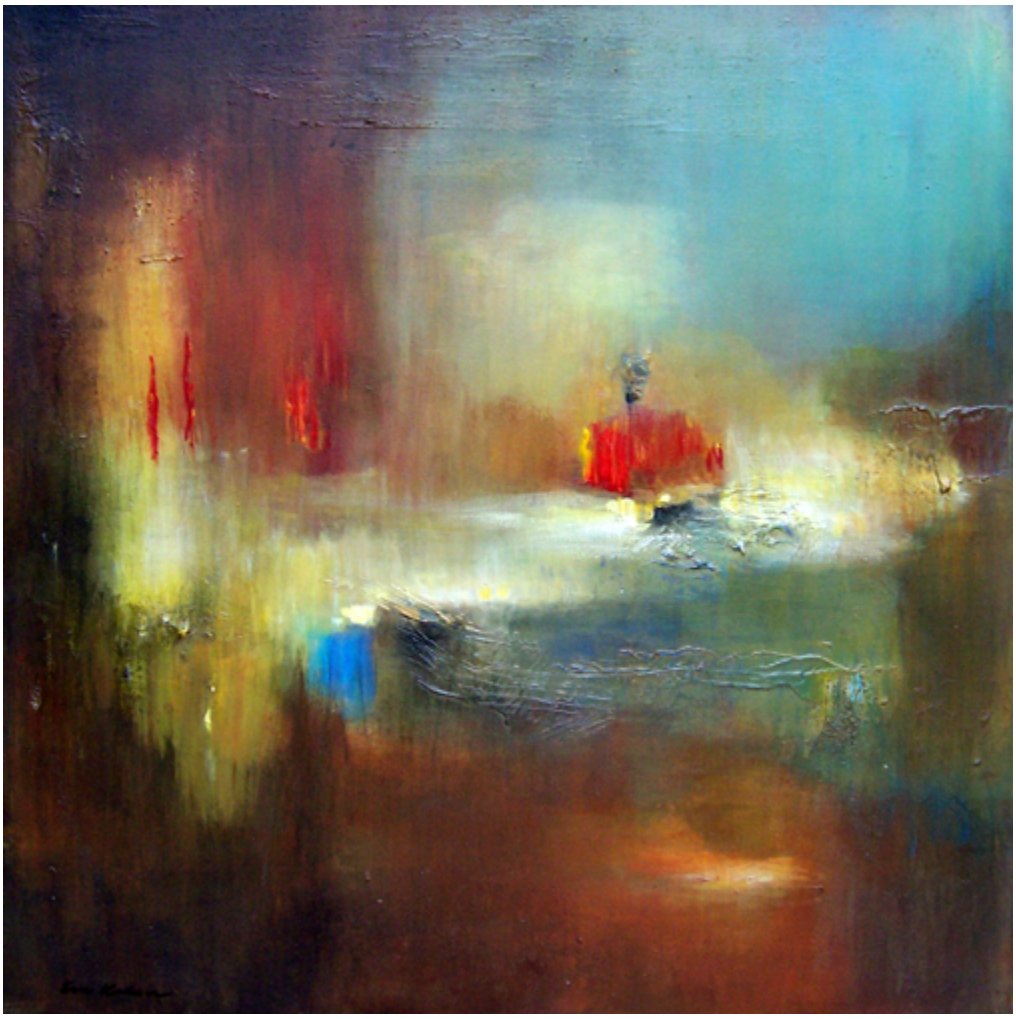
łukiem triumfalnym.

Clikclik – to my nowi władcy świata.

A mnie lepiej

tam gdzie dotyk ciepłej dłoni

i gdzie droga, która nie zna wszystkich odpowiedzi.



Eva Kolacz, Follow Thepath.

Eva Kolacz na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/ewa-kolacz-fazy-swiatla/